

Anioł konwencjonalny

Odkąd Beata przeprowadziła się z Targówka na Ochotę, nie bała się wracać sama późną porą do wynajmowanego mieszkania. Okolica była zielona i spokojna, a dojazd na wykłady, nawet uwzględniając przesiadkę z autobusu do tramwaju – krótszy, niż gdy mieszkała po prawej stronie Wisły. Tego wieczoru arterie wyjazdowe z Warszawy zagaściły się od samochodów, jak zawsze przed majowym długim weekendem. Beata również planowała wyjazd, ale musiała poświęcić jeden dzień na pilnie zlecone tłumaczenie, które zapewniało poważny zastrzyk gotówki do skromnego studenckiego budżetu. Jej dwie koleżanki, z którymi dzieliła wynajmowane lokum, wyjechały dzień wcześniej, co dawało gwarancję spokojnej pracy nad tekstem.

Wybiegła z tramwaju, licząc że zdąży złapać autobus, ale gdy dotarła na przystanek widziała już tylko znikające za zakrętem światła przegubowego Solarisa. Na następny o tej porze musiałyby czekać pół godziny. Postanowiła, że dotrze do mieszkania piechotą na skrót, co zajmie mniej niż kwadrans. Ciepły bezchmurny wieczór zachęcał do spaceru, a Beata stwierdziła, że świeże powietrze dobrze jej zrobi po wielogodzinnym wdychaniu bibliotecznego kurzu.

Minęła ogródki działkowe i skręciła w prawo, przechodząc koło zamkniętego sklepu spożywczego w brzydkim pawilonie pamiętającym epokę Edwarda Gierka. Nagle wieczorną ciszę przerwało głośne przekleństwo i metaliczny brzęk. Pod nogi Beaty poturlała się nieotwarta puszka piwa. Zanim dziewczyna zdążyła zareagować, znalazła się między dwoma mężczyznami, z których jeden niezgrabnie trzymał rozdarty sześciopak, a drugi kończył rozmowę przez telefon komórkowy, nie wyjmując papierosa z ust.

Dziewczyna w pierwszym momencie porządnie się wystraszyła, zaraz jednak odetchnęła z ulgą, bowiem mężczyźni w żadnym razie nie wyglądali na dresiarzy, narkomanów czy innych degeneratów. Obaj w średnim wieku, dość szczupli, elegancko przystrzyżeni, jeden ubrany w szary garnitur, drugi w dżinsy i markową skórzaną kurtkę, przypominali raczej biznesmenów wracających z awaryjnych zakupów w nocnym sklepie.

Mężczyzna w kurtce bezrefleksyjnym wzrokiem zlustrował studentkę, po czym przykucnął, by podnieść upuszczoną puszkę. Beata energicznie ruszyła w stronę mieszkania,

od którego dzieliło ją niecałe pięćset metrów. Nie zdążyła przejść trzech kroków, gdy poczuła silne szarpnięcie za ramię, które obróciło ją o sto osiemdziesiąt stopni.

– Dokąd tak pędzisz, dupeczko? – zarechotał mężczyzna w garniturze. Jego twarz, dobrze widoczna w świetle latarni, wyglądała jak morda zagłodzonego psa, który zobaczył krwisty ochłap mięsa z kością. Serce dziewczyny zaczęło uderzać niczym kowalski młot.

– Może napijesz się z nami na działeczce pod gruszą – dodał chrapliwym głosem mężczyzna w kurtce, otwierając puszkę piwa. – Na pewno się napijesz...

Umysł Beaty, coraz silniej trawiony przez strach, starał się resztkami siły znaleźć wyjście z sytuacji. Najbliższy blok znajdował się niedaleko, ledwie dwadzieścia metrów, ale jego czarne okiennice dawały nikłą nadzieję, że ktoś usłyszy krzyk. Ulica, normalnie dość ruchliwa, była o tej porze złośliwie pusta. Za to ogrodzone poszarpaną siatką ogródki działkowe leżały na wyciągnięcie ręki. Dziewczyna zdała sobie sprawę, jak bardzo głupim pomysłem było obranie tego skrótu późnym wieczorem.

Obróciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki, składając usta do krzyku, jednak mężczyzna w garniturze był szybszy. Poczula jak dłoń knebluje jej usta, a silne ramię obejmuje w pasie i unosi parę centymetrów nad ziemię. Zaczęła wierzgać rękoma i nogami, ale na napastniku ciągnącym ją w stronę krzaków nie robiło to żadnego wrażenia. Nie minęła minuta, jak znaleźli się wśród gęstych drzew i krzewów obok starej zdezelowanej altanki, na skrawku trawy słabo oświetlonym jedynie księżycową poświatą.

– Lubię rznąć rude! Ty wiesz, Zdzichu, że bardzo lubię – wychrypiał mężczyzna w kurtce, wyrzucając na trawę niedopita puszkę. Uścisk dłoni kneblujący Beatę był tak silny, że dziewczyna poczuła w ustach smak krwi. Jej oczy zaszklily się łzami, a serce szamotało się w piersi jak dziki zwierz złapany we wnyki. Nagle poczuła na całym ciele podmuch ciepłego powietrza. Liście wokół zaszeleściły głośno, choć mogłaby przysiąc, że pogoda tej nocy była całkowicie bezwietrzna.

– Co jest, kurwa!?! – warknął mężczyzna nad uchem Beaty, lekko luzując uścisk ramienia.

– Psy po krzakach szczają – odparł niepewnym głosem jego towarzysz, rozglądając się naokoło. – Albo jakie inne pierdo...

Nie zdążył dokończyć. Jakaś niewidzialna dłoń chwyciła go z tyłu za kurtkę, uniosła płynnie i cisnęła z ogromnym impetem na spróchniałą ścianę altanki. Bielone deski popękały z trzaskiem, a zgięty w pół korpus mężczyzny bezwładnie zawisł na resztkach konstrukcji, półtora metra nad ziemią.

Drugi napastnik zwolnił ucisk i dziewczyna zdołała wyrwać mu się z rąk. Była jednak tak spanikowana, że zaraz zaplątały jej się nogi i runęła jak długa na trawę. Z tej pozycji mogła dostrzec, jak jej niedoszły oprawca mija ją biegiem, a sekundę później zostaje podcięty przez niewidoczną przeszkodę. Nieszczęśnik zanurkował w powietrzu i po poru metrach widowiskowego lotu jego głowa spotkała przedzewiały hydrant.

Roztrzęsiona Beata z trudem podniosła się na nogi. Nie oglądając się za siebie wybiegła z ogródków, jakimś cudem odnajdując najkrótszą drogę do osiedlowej uliczki. Biegła jeszcze dobrych dwieście metrów, aż zatrzymała się, łapczywie łapiąc oddech. Znowu poczuła ciepły wiatr i jeszcze coś, jakby delikatne muśnięcie puchem na prawym policzku.

– Przepraszam, że tak niezręcznie wyszło. – Ciepły męski głos zza pleców sprawił, że serce znowu podeszło jej do gardła. Niemniej, wiedzioną dziwną intuicją, nie rzuciła się do ucieczki, tylko powoli odwróciła głowę.

Anioł wyglądał zupełnie jak przeniesiony z obrazu, który wisiał nad łóżkiem jej ukochanej babci: młody blondyn o kręconych włosach, ubrany w powłóczystą białą szatę, z parą śnieżnobiałych łabędzich skrzydeł. Był nawet lekko pulchny, może nie otyły, ale krągły – dokładnie jak na malowidle w wiejskim domku.

– Nie bój się – rzekł przyjaznym, uspokajającym tonem. – Jestem Esaphryel, twój Anioł Stróż.

– Beata – odpowiedziała drżącym głosem, dygając grzecznie, po czym zaczerwieńiała się jak burak, zdając sobie sprawę z bezsensowności przedstawiania się własnemu aniołowi.

– Jeszcze raz przepraszam – powtórzył. – To nie powinno tak wyglądać. Ciągłe się uczę. Pozwolisz, że odprowadzę cię do domu. – Gestem ręki wskazał w kierunku bloku, w którym mieszkała.

Skinęła delikatnie głową, robiąc nieco skonfundowaną minę. Ruszyli powolnym krokiem opustoszałą uliczką wzdłuż płotu ogródków działkowych.

Beata należała do dziewczyn, które twardo stąpają po ziemi. Pomimo studiów na drugim roku filologii germańskiej, charakterologicznie chyba bardziej przypominała trzeźwo myślącego ścisłowca niż bujającą w obłokach humanistkę. Sytuacja, w której się znalazła, wyglądała całkowicie absurdalnie – bo jak inaczej nazwać spacer z aniołem po opustoszałych uliczkach Ochoty. Z drugiej strony, analityczny umysł dziewczyny odrzucał hipotezę o śnie czy halucynacjach. Poza postacią Esaphryela, wszystkie otaczające dziewczynę detale były zbyt wyraziste, by występować w sennych majakach. Bolące pobrudzone kolano, torebka, z której wystaje kupiony po drodze z biblioteki kartonik soczku, odór otwartego śmietnika przy

mijanym czteropiętrowym bloku – w snach takie szczegóły nie występują. Beata szybko pogodziła się z myślą, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Przez chwilę szli w milczeniu. Nie mogła się powstrzymać, by nie spoglądać co moment na idącą po jej prawej stronie postać, choć starała się robić to bardzo dyskretnie. Anioł nie leciał ani nie lewitował, chodził po nierównym chodniku jak zwykły śmiertelnik, tyle że na bosaka. Beata zauważyła nawet, że Esaphyreel ma nieowłosione nogi i znowu się zaczerwieniła. Serce dziewczyny, które jeszcze niedawno chciało za wszelką cenę wyrwać się z żebrowego więzienia, było teraz nadzwyczaj spokojne. Czuła, że otacza ją jakaś nie do końca opisywalna słowami aura, rodzaj eterycznego kokonu, dającego poczucie ciepła i bezpieczeństwa. Przed oczami stanęła jej scena sprzed ledwie trzech minut z dwoma zwyrodnialcami przy altance i wtedy dopiero poczuła chłodny dreszcz. Została cudownie ocalona – to nie ulegało wątpliwości – ale dlaczego anioł ją przeproszał?

– To, co nazywasz cudem, było raczej niezgrabnie naprawioną wpadką – rzekł Esaphryel. Beata natychmiast zdała sobie sprawę, że towarzysz spaceru czyta jej w myślach.
– W ludzkim języku pojęcie cudu jest zresztą bardzo nieprecyzyjne.

– No, ale... – zaczęła, nie wiedząc do końca, co chce powiedzieć.

– Większość Aniołów Stróżów, zdecydowana większość, to doświadczeni opiekunowie – zaczął wywód. – Tobie trafił się, mówiąc ziemskim językiem, praktykant, uczeń. Nie pytaj dlaczego: z jednej strony nie mogę powiedzieć, że przez przypadek, bo u nas, na górze, takie słowo jak „przypadek” nie istnieje, z drugiej strony to dość skomplikowane. W każdym razie to nie jest żadna kara ani nagroda.

Skręcili w boczną osiedlową uliczkę. Beata nerwowo rozglądała się wokół, zastanawiając się, co będzie, gdy ktoś ich zobaczy. Nikogo jednak nie było w zasięgu wzroku.

– Wcześniej śpiewałem w anielskim chórze. To też ważne zajęcie, acz dużo prostsze. Bycie Aniołem Stróżem to zaszczytna, ale i bardzo trudna funkcja – kontynuował. – Metaforycznie rzecz ujmując, trzeba nauczyć się mistrzowsko grać na strunach wielkiej harfy, zwanej Bożą Opatrznością. Ja jeszcze tego dobrze nie potrafię.

Kilka metrów przed nimi, zza kosza na śmieci wysunęła się sylwetka czarnego kocura. Zwierz podniósł łapkę, jakby szykując się do przebiegnięcia im drogi, ale potem zamarł niczym sparaliżowany. Przeszli obok niego, a sekundę później Beata usłyszała za plecami delikatne szelest kocich łap.

– Wyrwałeś mnie z rąk tych... no... – rzekła dziewczyna. – Czy to nie jest opatrzność?

– Jest, lecz... Jakby to powiedzieć... – Esaphryel zamyślił się. – W ludzkim języku ciężko znaleźć analogię, ale spróbuję. Macie tu na ziemi broń konwencjonalną: czołgi, samoloty, działa. Macie wreszcie broń atomową i inne środki masowego rażenia. Broń konwencjonalna jest efektywna, gdy używa się jej na polu walki. Broń atomowa może w potężny sposób wpływać na losy świata, nawet jeśli spoczywa ukryta w podziemnym silosie. Albo tak... macie medycynę konwencjonalną, te wszystkie pastylki lub chirurgiczne operacje. Stosujecie też czasem profilaktykę, kiedy odpowiednie drobne działania zapobiegają poważnym schorzeniom. To, co stało się kilka minut temu przy altance, to było jakby użycie prymitywnej broni konwencjonalnej, taki strzał z działa; albo jak konwencjonalna operacja chirurgiczna. Klucz do arsenału atomowego to trzyma sam Bóg, a domeną doświadczonych Aniołów Stróżów jest profilaktyka.

Jeśli tak zachował się anioł konwencjonalny, to co zrobiłby profilaktyczny? – pomyślała Beata i ugryzła się od razu w mentalny język, przypominając sobie o czytaniu w myślach.

– Anioł konwencjonalny i anioł profilaktyczny, nawet ciekawa nazwa. – Esaphryel uśmiechnął się. – Gdybym umiał dobrze operować harfą opatrności, przewidując bieg wydarzeń i subtelnie ingerując w świat nieożywiony, sprawiłbym choćby, że autobus spóźniłby się pół minuty i zdążyłabyś do niego wsiąść. Anioły Stróże interweniują w ten sposób codziennie miliony razy. Jest wielką sztuką to wszystko zharmonizować. Nawet uczonym ludziom wydaje się, że światem kierują deterministyczne prawidła, choć na każdym kroku dzieją się cuda. Rozumiesz?

– Tak, chyba tak... – odrzekła i zamyśliła się. Wychowała się w religijnej rodzinie, modlitwa i wizyty w kościele nie były dla niej pustymi rytuałami, ale mimo wszystko, nagle poczuła się tak, jakby jej wiara była boleśnie płytka.

– Jesteśmy na miejscu. – Głos Esaphryela wyrwał ją z zamyślenia. Nawet nie zauważyła, że już doszli do przeszklonej klatki jej bloku. – Jeszcze raz przepraszam za zamieszanie. Obiecuję się poprawić, już niedługo mam koniec praktyk i egzamin...

– O, to jak u mnie, sesja za miesiąc... – odparła bez zastanowienia.

– U nas „niedługo” znaczy jednak coś innego – znów się uśmiechnął. – Wyśpij się dobrze, miałaś ciężki wieczór. Będę przy tobie – rzekł ciepłym, opiekuńczym głosem. I znikł.

Beata stała przez chwilę z otwartymi ustami i dłonią opartą na klamce zewnętrznych drzwi klatki.

– Ojej, zapomniałam – westchnęła nagle. – Dziękuję! – rzuciła w powietrze, patrząc na rozgwieżdżone niebo.

Gdy weszła do mieszkania, poczuła, że opuszczają ją siły. Zdołała jeszcze tylko rzucić ubranie w kąt, wtuliła się pod kołdrę i błyskawicznie zasnęła. Wstała kwadrans po dziewiątej, fizycznie wypoczęta, ale strasznie głodna i jednak lekko skołowana. Jedząc tosty z twarożkiem i popijając mleczną kawą, usiłowała sobie przypomnieć wydarzenia ostatniego wieczoru, ale miała wrażenie, że ktoś je zasłonił kotarą gęstej mgły. Gwałciciele, spacer z aniołem, nawet ten czarny kot, wszystko to wyglądało teraz jakoś bajkowo. Jej prawe kolano było lekko zadrapane, to fakt, ale to trochę za mało, by uwiarygodnić fantastyczne obrazy z krańców świadomości. Beata pomyślała, że to jednak musiał być sen – przedziwny, realistyczny w szczegółach, ale jednak sen. Dopija kawę i odpaliła komputer. Należało się sprężyć, by zrobić tłumaczenie i zdążyć na pociąg do rodziców.

* * *

Nigdy nie przepadała za takimi miejscami, ale w końcu uznała, że coś się od życia należy i dała się zaciągnąć koleżankom z pracy do znanego klubu w Śródmieściu. Lokal w piątkowy wieczór był wypełniony po brzegi młodymi pracownikami wielkich korporacji, którzy chcieli wyładować stres nagromadzony po co najmniej pięćdziesięciogodzinnym tygodniu pracy. Towarzystwo piło fantazyjne drinki przy barze i przy mikroskopijnych plastikowych stolikach, podrygiwało leniwie w rytm nowoczesnej muzyki o trudnym do określenia gatunku i mniej lub bardziej dyskretnie raczyło się bardziej lub mniej legalnymi używkami.

– *Co ja tu robię?* – powtórzyła w myślach już trzeci raz w ciągu godziny, sącząc kolorową Margaritę i wsłuchując się w dyskusję koleżanek z pracy o ukrytych zaletach seksu oralnego.

Beata czuła się podle, a alkohol, który miał poprawić humor, okazał się złośliwie nieefektywny. Od rozstania z Krzyśkiem minęły już trzy tygodnie, a ona wciąż nie mogła się pozbierać. Choć sama go rzuciła, miesiąc przed planowanymi zaręczynami, gdy na jaw wyszły wszystkie jego kręactwa i skoki w bok, trawiło ją poczucie wstydu i życiowej porażki. Przypomniła sobie, jak śmiertelnie obrażona ignorowała ostrzeżenia rodziców, które okazały się co do joty prawdziwe. Było jej tak głupio, że po raz pierwszy w życiu wykręciła się od przyjazdu na Wielkanoc, argumentując to nagłym spiętrzeniem zawodowych

obowiązków. Wy tłumaczenie to zawierało nawet ziarno prawdy, bo firma konsultingowa, w której zaczęła po studiach pracę jako tłumaczka, płaciła sownie, ale też wymagała od pracowników dużo więcej niż spokojnej pracy od ósmej do szesnastej.

Dopiła drugiego drinka do połowy i wreszcie poczuła w głowie lekki szum. Wlany w pusty żołądek alkohol w końcu zaczynał działać. Podniosła wzrok znad szklanki na swoje towarzyszki. Były tak różne od niej. Kiedyś wydawały się jej pretensjonalnymi, bardzo płytkimi panienkami, teraz powoli zaczynała zazdrościć im przebojowości. Na ich tle wyglądała jak ruda myszka, może dobrze wykształcona, może pracowita, ale jednak myszka. One braki w wykształceniu nadrabiała obrotnością, a gdy było trzeba więcej pracować, nie wahały się sięgać po amfę czy podobne stymulanty. Zobaczywszy to pierwszy raz, była mocno przerażona, a teraz nawet zaczęła zazdrościć koleżankom tej łatwości rozwiązywania problemów na skrót.

– Kurde, Beata, wyglądasz jak zbity kundel... – Szturchnięcie Alki wyrwało dziewczynę z zamyślenia. – Potrzebujesz czegoś mocniejszego na poprawę humoru.

– Zaraz coś znajdziemy... Wydaje mi się, że widziałam Leona. – Sylwia wstała od stołu i pociągnęła Beatę za rękę. Dziewczyna nie stawiała oporu, wstała chwiejnie i podreptała za koleżankami w ciemniejszy zaułek klubu obok tylnego wyjścia i toalet.

Leon był trzydziestoletnim brunetem, jakby żywcem wyjętym z klasycznego gangsterskiego filmu o włoskiej mafii. Piekielnie przystojny, o pociągłej twarzy, z lekką opalenizną i zaczesanymi do tyłu kruczoczarnymi włosami. Ubrany w idealnie dopasowany stalowoszary garnitur i purpurową jedwabną koszulę, pachniał wodą toaletową o ostrej, ekstrawaganckiej nucie. Sypał błyskotliwymi żartami, a z Beatą nawet zamienił dwa zdania o niemieckiej literaturze romantycznej. Zdecydowanie nie wyglądał na dealera, a dziewczyna była pod dużym wrażeniem jego erudycji. W końcu jednak rozmowa, w której pierwsze skrzypce wiodły Sylwia z Alką, zesłała na stymulanty. W wypięgnowanych dłoniach Leona pojawił się foliowy woreczek z jakimiś blad różowymi pastylkami.

– Dla ciebie gratis. Zobaczysz, jak wygląda krok w chmurach – uśmiechnął się szelmowsko do Beaty. Wahała się przez chwilę. Wypity przed kwadransiem alkohol szumiał mocno w głowie, perspektywa oderwania się od złych wspomnień kusiła coraz bardziej. Głos rozsądku, nuty odpowiedzialności, poczucie bycia tą „grzeczną dziewczynką” parowały szybko jak poranna rosa. *Chrzanić to wszystko* – pomyślała i wyciągnęła dłoń po foliową torebkę.

– Jezu! – krzyknęła przechodząca obok kelnerka, która poślizgnęła się na mokrej posadzce. Srebrna taca wyleciała w powietrze, a wypełnione kolorowymi drinkami szklanki pofrunęły we wszystkich kierunkach. Solidna porcja Krwawej Mary wylądowała dokładnie na środku niebieskiej bluzki Beaty. Dziewczyna odskoczyła do tyłu i zaklęła siarczyście. Ignorując współczujące słowa koleżanek, pędem pobiegła do łazienki jak najszybciej zmyć czerwoną plamę z ulubionego ciuszka.

Zmagania z sokiem pomidorowym wypadły jednak dość żałośnie, Jedyne, co osiągnęła, to tylko większe przemoczenie. Jeszcze, jak na złość, w kranach zabrakło ciepłej wody, zaś ta, która miała być zimna, była po prostu lodowata. Beata zabrała się za mycie twarzy, również ochlapanej przez drinka. Wnet poczuła, że wściekłość ją opuszcza, a nawet, że nieco trzeźwieje. Bez wahania zanurzyła jeszcze raz skronie w zimnym strumieniu na dobrych kilkanaście sekund.

– Rany, co ja robię!? Chyba zupełnie zwariowałam – rzekła na głos, po czym wybiegła z klubu, łapiąc tylko kurtkę w szatni i nie oglądając wcale się na koleżanki.

Noc była wyjątkowo ciepła jak na koniec marca. Ruszyła piechotą w stronę metra. Mokra bluzka dawała poczucie fizycznego dyskomfortu, ale psychicznie Beata czuła się jak nigdy dotąd. *Jak mogłam być tak głupia? Było tak blisko!* – pomyślała. – *Zapomnieć o Krzyśku, olać te głupie lafiryndy, zmienić pracę!* – Czuła jak wstępuje w nią niesamowita energia. – *Jadę do domu na Wielkanoc, choćby świat się walił i palił!* Gdy dochodziła do Marszałkowskiej, omiótł ją silny powiew wiatru. Na policzku poczuła coś dziwnego, jakby delikatne muśnięcie upierzonym skrzydłem. Zatrzymała się nagle z otwartymi ze zdziwienia ustami i uniosła oczy ku niebu.

– Dziękuję! – wyszeptała. – Awansowałam...

Prężnym krokiem ruszyła przed siebie. Przed jej oczyma stanął obraz z klubu sprzed kwadransa, gdy rozmawiała z przystojnym kusicielem. Przedziwny, ostry aromat wody toaletowej nie dawał jej spokoju, ale teraz uświadamiała sobie, że nie było to nic innego tylko... zapach siarki! Cóż, najwyraźniej obok konwencjonalnych aniołów po świecie wędrowały również konwencjonalne diabły...